

# Kaprys księcia

Po komfortowym wyborze na prezydenta republiki z poparciem niemal wszystkich mediów francuskich Emmanuel Macron żąda, aby większość parlamentarna zapewniła mu ustawę zakazującą rozpowszechniania „fałszywych informacji” w okresie wyborów. Być może przygotowuje już swoją następną kampanię.

Projekt ustawy, która ma zostać wkrótce uchwalona, zdradza zarówno kurzą ślepotę, na którą cierpią rządzący, kiedy mają do czynienia z protestami, jak i ich skłonność do nieustannego wymyślania środków przymusu, które mają im zaradzić. Trzeba bowiem być ślepym, aby uważać, że zwycięstwo kandydatów, partii czy spraw „antysystemowych” (Donalda Trumpa, Brexitu, referendum katalońskiego, Ruchu Pięciu Gwiazd we Włoszech...) należy, choćby w minimalnym stopniu, zawdzięczać rozsiewaniu fałszywych wieści przez reżimy autorytarne. Od ponad roku prasa amerykańska staje na głowie, aby nie dysponując żadnymi dowodami wykazać, że obecny prezydent Stanów Zjednoczonych zawdzięcza swoją elekcję *fake news*'om sfabrykowanym przez Władimira Putina. Wydaje się, że Macron ulega podobnej obsesji – do tego stopnia, że ma nadzieję, iż poradzi sobie z nią uruchamiając równie bezużyteczny, co niebezpieczny mechanizm.

Bezużyteczny: Rada Stanu – organ opiniujący we Francji wszystkie projekty ustaw zgłaszane przez rząd – z którą skonsultowano sprawę, przypomniała 19 kwietnia br., że „prawo francuskie zawiera już kilka przepisów służących w istocie walce z rozpowszechnianiem fałszywych informacji”. W szczególności chodzi o ustawę z 29 lipca 1881 r. o wolności prasy. Pozwala ona represjonować rozpowszechnianie fałszywych wiadomości oraz oszczerczych i obraźliwych wypowiedzi. Niebezpieczny: zgodnie z projektem ustawy, można by zwrócić się do sędziego z wnioskiem o to, aby w podjął w ciągu 48 godzin działania „kładące kres sztuczemu i masowemu rozpowszechnianiu (...) faktów stanowiących fałszywe informacje.” Tymczasem, wskazuje znów Rada Stanu, „trudno jest zakwalifikować je pod względem prawnym, tym bardziej wtedy, gdy sędzia, do którego się zwrócono, ma orzec w bardzo krótkim czasie”. Wreszcie mechanizm wynaleziony przez Macrona nieproporcjonalnie do wagi sprawy wzmacnia „obowiązek współpracy” z władzami publicznymi dostawców dostępu do Internetu i hostingów, ponieważ rozszerza na wszelką „fałszywa informację” przymus, który początkowo miał zapobiegać... „apologii zbrodni przeciwko ludzkości, podżeganiu

do nienawiści, jak również pornografii dziecięcej”.

Posiadanie mediów przez zaprzyjaźnionych z prezydentem republiki miliarderów, zatruwanie ludzkich umysłów reklamami, finansowe dławienie kanałów telewizji publicznej – propozycji, aby tym wszystkim zajęło się prawo, nie ma. Poza tym – dlaczego miałyby to obowiązywać tylko w okresie wyborów? Pozostając przy ostatnich dziesięcioleciach, prawie każdej wojnie – w Zatoce, w Kosowie, Iraku, Libii – towarzyszyło szerzenie się kłamstw i manipulowanie informacjami. Nie działo się tak z powodu Moskwy, Facebooka czy innych sieci społecznościowych, lecz dlatego, że ich autorami byli władcy demokracji i dziennikarstwa: największe dzienniki zachodnie z *New York Timesem* na czele, Biały Dom, wielkie stolicy europejskie, nie zapominając o rządzie ukraińskim, który w ubiegłym miesiącu podał fałszywą informację o śmierci rosyjskiego dziennikarza. Gdyby pewnego dnia jakiś sędzia miał dobrać się do przestępców, którzy rozpowszechniali fałszywe wiadomości, to przynajmniej wiedziałby, gdzie ich szukać...